

KUROPA

Wspomnienie syberyjskie Janiny Kuropas z domu Baliczak

© ARCHIWUM WSCHOĐNE

Urodziłam się 23 kwietnia 1915 roku w Balicach koło Przemysła /obecnie ZSRR/. Matka moja, Maria pochodziła z rodziny Aleksandrowiczów, ojciec zaś przed I wojną światową, za Austro-Węgier, był komendantem posterunku policji w Balicach. Mając 17 lat wyszłam za mąż za Władysława Kuropasia i zamieszkałam w sąsiedniej kolonii w Nowosiółkach /obecnie ZSRR/. Jak wojna wybuchła w 1939 roku we wrześniu Ukraińcy na naszych terenach przejęli zaraz władzę, przejęli urzędy, powiaty, sklepy... w Nowosiółkach był sklep, zabrali sklepowemu klucze, nawet nie mogliśmy kupić pudełka zaparek. 10 lutego o świcie, 1940 roku zaczęto nas wywozić. My byliśmy małżeństwem bezdzietnym, pierwsze dziecko, córka Emilia urodziła się już w lipcu. Zabierali z domu nas Moskale, z Nowosiółek i innych kolonii, tzn. miejscowości zasiedlanych przez Polaków, którzy w latach dwudziestych wykupywali rozparcelowane duże majątki ziemskie. Akcja 10 lutego skierowana była właśnie na tych kolonizatorów. Już na miejscu, w Krasnojarskim Kraju powiedziano nam dopiero, że „wydał was wasz naród”, tzn. Ukraińcy. Myślano, że jesteśmy jednym narodem. Z Nowosiółek w lutym zawiezono nas do Medyki pod Przemysłem i tam ładowano do wagonów. w naszym wagonie było 42 osoby. Pożki piętrowe, na środku piecyk, można było gotować - piec placki, ale na bocznych ściankach. Robili tak ci, którzy mieli mąkę. Jechaliśmy z Medyki do Kijowa 3 dni, tam dopiero pierwszy raz otworzyli drzwi i dali jedno wiadro wrzątku na cały wagon. W oknach wagonu kraty, po drodze przez te kraty, na postojach robotnicy pracujący przy torach podawali nam na sznurkach śnieg we wiadrach, brudny i z sadzą. Transportów naliczyliśmy 5 - spotykały się na stacjach na bocznych torach obok siebie. Przez okno, przez kraty widac było umęczonych ludzi. Każdy transport był bardzo ciężki,

ciągniony przez trzy lokomotywy: z przodu, w środku i z tyłu. Z Kijowa jechaliśmy przez Cnarkow, Omsk, Tomsk do Krasnojarskiego kraju /manski Rejon, Seło Narwa, pasiołek Ipima/. Ipima - 6 km od Narwy, leżącej nad rzeką Mana, na południe od Krasnojarska. W czasie jazdy transporty rozdzielały się: jeden transport zostawił gdzieś w Uralu, nasz w krasnojarskim kraju, inny pojechał a z do Irkucka. My do krasnojarska jechaliśmy pociągiem, a dalej piechotą, tzn. mężczyźni na piechotę, a dzieci, kobiety i starcy saniami ciągnionymi przez jednego konia z drewnianym kabłąkiem. Dookoła biała pustka i śnieg. Po kilku dniach doszliśmy do Ipimy. Jeden barak na 40 rodzin, w lesie, z przodu i z tyłu baraku drzwi, łóżka zbite z drzewa, nogi zbite na krzyż. Nie dla wszystkich wystarczyło miejsca, więc mój mąż Władzio i jego brat Jan musieli zbijać nam łóżka. Jan był sam, nie miał żony.

Jak tam przyjechaliśmy, zrobiono zebranie czy chcemy świętować w sobotę czy w niedzielę. Myśmy ustalili niedzielę, ale żadnych możliwości wyjazdu do kościoła nie było. Nie było również księdza. Stał tam jeden barak tylko, później zbudowali domy dla tych, którzy dobrze sprawowali się w pracy. Dostawali pomieszczenia małe, ale lepiej było już niż w baraku wspólnym. Pracowałam w łaźni, mąż był koniuszym. Chleba dostawaliśmy 30 dkg dziennie na osobę, starcy 40 dkg. Na ten chleb był osobny domek, tzw. sklep, w którym ten chleb czekał na nas już od trzech miesięcy. To było jedno pomieszczenie, dookoła przy ścianach od podłogi aż do sufitu półki wypełnione zeschniętym chlebem. Nic poza tym. W osobnym baraku mieszkał milicjant. Ostrzegał by nie uciekać, bo nie ma gdzie, dookoła pustka, a w śniegu wszędzie pniaki - drzewa ciąto się na stojąco, na wysokości metra. Później wybudowaliśmy łaźnię większą, była już lepsza praca, było inaczej: podłoga, większy stół, koryto do mycia większe, z heblowanych desek było, większa kuchnia. Raz na tydzień można tam było chodzić.

Stosunek Rosjan do Polaków był niedobry. Traktowano nas jako wiel-

rich panów, tzn., że my kukaki, że w Polsce nad biednymi się znęca-
liśmy. Tak wszyscy nas traktowali. Potem powiedzieli, że to była
wielka pomyłka. Zrobili zebranie i powiedzieli: „wasz naród was
wydał”. To było gdzieś po pół roku w tej Ipinie.

Tam byli sami Polacy, później, w kwietniu 1941 roku przywiezki
Żydów, z różnych stron Polski, wielu ze Lwowa. Oni byli bogaci.
Kiedy ich prowadzili, wyszłam popatrzeć: idzie cztery panie jedną
torowką /linią wąskotorową/, po której jeździła ciuchcia przewożąca
drzewo i napędzana drzewem. Wybudowali ją Polacy, bo tam innych drog
nie było. Prowadzili tych Żydów tą strefką i jedna z nich podchodzi
do mnie i pyta: „Ty Polka?” „Polka”. „Czy tu można kupić dzie kuny?”
/pani J. naśladuje wymowę bez litery "r"/. A ja mówię: „to pani się
jeszcze dobrze powodzi jak pani myśli jeszcze o kurze”. Daleko,
w lesie był jakiś taki mniejszy barak i tam ich zaprowadzili. Ale
oni mieli złoto, dużo ubrania porządnego...

Później zrobili dla wszystkich stołówkę, sprowadzali skądys kaszę
i z niej robili zupę. Tą kaszę można było kupić, więc Żydzi chodzili
do tej kuchni, do Rosjan, którzy tam pracowali i kupowali od nich
kaszę, olej, oliwę? zamieniali na ubranie.

Rosjanie traktowali nas bardzo źle. W pierwszych dniach po naszym
przyjeździe, jedna z Polek poszła do strażnika i mówi mu, że dziecko
jej w drodze zmarło. A on mówi: „Idź, to gdzie zakopaj”. Ona pyta
się: „No de?” /gdzie/. „Ta Sybir pałszoj, wybierz se kuda chcesz”.
Nie pamiętam jak ten milicjant się nazywał. Po nim pilnował nas inny,
nazywał się Swirydow i był już na stałe. Rosjanie wszyscy, którzy
tam mieszkali, nazwiska ich kończyły się na literę "w": Stadnikow,
Pietniow. Pietniow, to był rejonowy, który przyjeżdżał co jakiś czas
na inspekcję i kiedyś jedną dziewczynę z Medyki, bardzo chorą,
zrzucił w baraku z łozka za to, że leżała. On przyjeżdżał z szaka
W Ipinie byli ludzie z różnych miejscowości: z Marianki, kolonii
obok Medyki, z Siedlisk, ale z kolonii, która dzisiaj jest po tamtej
stronie granicy, /w ZSRR/, bo Siedliska są po tej stronie.

Ludzi umierało strasznie dużo, nie mieliśmy ich gdzie chować, bo cmentarzy tam nie było. Dopiero nasi ludzie odgradzili barierami z drzewa jedno miejsce, żeby tam bydło się nie pasło, i tam chowaliśmy zmarłych. Zimą biliśmy bigami zamarznąłą ziemię. Na tym cmentarzu pochowaliśmy np. menzela, on był ze Stubna i w drodze jeszcze zachorował na tyfus. Potem ~~xxxxxxx~~ Sanicka, starsza pani, kius również starszy był. Umierali na tyfus, na czerwonkę. Leży tam również młody, 19-20 letni człowiek, który poszedł raz na drugą stronę rzeki. Przez rzekę była kładka przerzucona, a była to wiosna, roztopy, rzeka wezrana i ten chłopak przechodząc kładką wpadł do wody i koniec. Ludzie przechodzili na drugą stronę do seła, do Narwi, do tej wioski, bo tam była stołówka i można było sobie kupić coś do jedzenia, jeśli ktoś miał pieniądze.

Jeśli ktoś był dla nich, Ruskich podejrzany, to odsyłali go dalej, na przesłuchanie, sąd lub więzienie. Na przykład była tam rodzina Agilaszków, pochodzili gdzieś z Rorzbowic, ojciec zmarł na Sybirze i zostało ich trzech braci, siostra i matka. Jeden z nich coś powiedział na rząd i wysłali go aż do Krasnojarska do więzienia. Siedział chyba z cztery miesiące, a wrócił dopiero, gdy ogłoszoną tą amnestią, że niby to jesteśmy wolni /zapewne pmowa jest o podpisanym 30/VII, 1941 r. układzie Sikorski-Majski - rozmawiający/, a wracał taki jak cień. Jak szedł, to się przewracał. Był tam taki Sus Stanisław z Krownik, gdzie miał pole koło jednostki wojskowej, a wywieziony został z całą rodziną - też siedział w Krasnojarsku. Ludzi zamykali np. za to, że nie wyszedł do pracy przez trzy dni. Od razu pod sąd. Mnie też zamknęli, ale na miejscu. W baraku, gdzie było naczelstwo, była ogrodzona taka klatka, ogrodzona kratami, z małym zakratowanym okienkiem, w środku tylko prycz i pół metra przejścia od ściany i szaflik. Siedziałam za to, że nie wyszłam do pracy. Ale tylko siedziałam doby zdaje się. To było tak: przyjechał właśnie ten rejonowy Pletniow, i tak latał po obozie, i kogo spotkał, zaczepiał. A ja nosiłam na nosilkach drewnianych wodę do łaźni, z

bardzo daleka, z rzeki. I on do mnie: „poczemu nie rabotajesz?”
A ja, że „balnaja”, chora, a on „job twoju mać, a wodu taskać możesz?”
Zajechał do tej kancelarii, tego młodszego Swirydowa wyskakał po mnie,
ja przyszedłam - kazał mnie zamknąć. Siedzę tam, duszno, duszę się
całkiem... Miałam jakieś człapki na nogach, wzięłam jeden i obcasem
rozbiłam szybę między kratami. Oni usłyszeli, przylecieli, zaczęli
skakać: „job twoju mać”... A na tym pryczu leżał jakiś kamień, więc
mówię: „jakiś malczik brosił w okno i złamał sciekło. O, leży kamień”
I dali mi spokój. Potem przyprowadzili dwie kobiety: Kuzio Maria
i ktoś jeszcze, i siedzimy we trzy. Przyszła czas na obiad. Brat
męża mojego, Janek, pracował w cegielni, przychodzi do baraku, obiedu
nie ma, mnie nigda, więc poszedł do tego Pletnikowa i mówi: „daj ty
mi obiad. bratową ty zakrył, daj kuszac. Brat rabotajet, ja rabota-
jet”. I przed wieczorem mnie wypuścili. Te dwie panie też siedziały
za podobne przewinienie.

Potem urodziłam córkę, 8 kwietnia 1941 roku. Kiedy kończyła trzy mie-
siące, przysłali po mnie, abym stawiała się do kantora do milicjanta.
Przyszedłam z dzieckiem, a ten milicjant mówi, że nada isc rabotac.
Co mam zrobic z dzieckiem, pytam. „Jest tu jasie, tam go daj”.
Jasie, to takie przedszkole już zorganizowane w tej ipimie. I tak
się stało.

Dostawienie. Każdy z nas miał zaświadczenie, dokument tożsamości.
To był kawałeczek papieru, gdzie wypisane były wszystkie nasze dane.
Z tym zaświadczeniem można było poruszać się, wyjeżdżać poza
miejscowość. Do Polski może ktoś przywiozł, ja nie mam, bo zginęły
nam w Kosji. To było jeszcze w Ipimie. Mieszkaliśmy już nie w wspól-
nym baraku, ale w osobnym, małym domku, wybudowanym naprędce, w
jednym pomieszczeniu z rodziną Kasprzyków. Byli z Nowosiołek. Moj
mąż dał nasze kartki i dokumenty Kasprzykowi, który miał kupic nam
w sklepie chyba chleb. I te papiery mu wszystkie ukradli.

¶ Kiedy dowiedzieliśmy się, że w Taszkencie tworzy się polskie wojs-
ko, ruszyliśmy tam. z Ipimy jechaliśmy do Komarczagi. Tam byliśmy

3 albo 2 miesiące. Potem do Nowosybirska, Ałma-Aty i do Taszkientu. Pociągi były strasznie porozbijane, przeważnie jechaliśmy towarowymi wagonami, oczywiście kupując bilety. Z Taszkientu wrociliśmy do Ługowoi i tam, koło wojska polskiego siedzieliśmy na pastwisku aż do wyjazdu z Rosji. Męża nie wzięli do wojska, był inwalidą. Byliśmy tam przez trzy miesiące: kwiecień, maj, czerwiec i 22 czerwca wyjechaliśmy, w 1942 roku. Podstawiono wagony osobowe, do których wpuszczali kołchozami za listami nazwisk mężowie zaufania. To byli Polacy. Nas wpuszczają jeden wojskowy, porucznik i dwóch cywilów. Przez te trzy miesiące nie dostawaliśmy od wojska jedzenia. Mąż moj był szewcem, naprawiał buty w małej kajutce, która służyła nam za mieszkanie /2,5 x 2,5m/. 3 km od nas był bazar i w niedzielę kazacy i Ruskie wywozili tam do sprzedania różne rzeczy: kto miał krowę nosił mleko, czasem jajka, mąkę, kukurydziankę, cukier. Mąż za te buty kupował jedzenie. Za pieniądze nie można było kupić nic, tylko za rzeczy do ubrania.

Z Ługowoi jechaliśmy przez tydzień do Krasnowodzka nad morzem Kaspijskim, gdzie wsiedliśmy na statek. To był rok 1942. Statek był ruski, ale wojsko polskie wpuszczają na pokład. Mieli jakąś tam liczbę ludzi wziąć, a wzięli drugi raz tyle. Tak, że przez trzy doby, a tyle płynęliśmy, wszyscy stali na pokładzie tak gęsto jeden koło drugiego, że jakby tam wpuścił igłę, to nawet by nie poleciała. Rosjanie nie sprawdzali, więc wojsko w mundurach brało nas tak, żeby wziąć jak najwięcej. Tutaj, w Krasnowodzk, to bidosia, ładowali nas w bagnie, wchodziliśmy po desce na której poprzybijane były patyki, jak to dla kur nieraz jest. Po tym się lało, żadnej poręczy, nic... A przyjechaliśmy na drugą stronę, do Persji, a tam kwiaty, elegancko, wszystko, Persowie chodzą, krzyczą: "jajca werenie, jajca werenie", tzn. jajka gotowane. Tam można było rozmówić się ze wszystkimi po rusku, bo tam było bardzo dużo wojska ruskiego. Ta Persja w porównaniu z Rosją to niebo i ziemia. Trzymali nas nad tym morzem, nazywali to przystań perska, przez trzy tygodnie i szczepili. Mieliś-

ny kwarantannę, bo ludzie strasznie chorowali. Jakie tam omentarze pozostawaki! Jednej pani, nie znam jej, 19-letnia córka zmarła jeszcze na okręcie. Trupa w brzencie wrzucili do morza. I w Persji mieszkaliśmy razem w jednym szałasie, ona strasznie płakała, rozpaczła, mówiła: „żebym ją zakopała, to by inaczej było”. I zrobił się straszny sztorm i później przyszedł porządkowy, wywołał ją, bo okazało się, że fale wyrzuciła zwłoki jej córki na brzeg. I pochowała ją na omentarzu.

Szałasy były z jakiejś trzciny i tylko dach był, bo tam było bardzo gorąco.

Ten statek nie mógł do brzegu przybic, przesiadaliśmy się do mniejszych łodzi, potem rejestrowaliśmy się, dźwiali mleko gotowane, z ~~z jajek~~ jajka dla dziecka. Najczęściej jedliśmy ryż na paranie. To strasznie tłuste było, a picia tam brakowało, to ludzie kopali dołki w piasku i zbierali wodę. Strasznie po tym chorowali na zóratczkę, pelaggrę, czerwonkę, tyfus, byrdzo umierali.

Po tej kwarantannie wleził nas przez trzy doby ciężarówkami gdzieś w okolice Techeranu. Tam zrobili trzy obozy: jeden wojskowy, a pierwszy i trzeci cywilny. Najlepszy oboz to był trzeci, był on w takim parku, żadna zielen, a my, w pierwszym obozie, byliśmy na piasku. Jedzenie dostawaliśmy ze zbiorowej kuchni: na śniadanie czarną kawę, albo kakao na wodzie, raz na tydzień chleb i cukier. Szło się do magazynu, wybierało i potem dalekilo między siebie.

Z tego obozu wyjechaliśmy w 1945 roku do Afryki. Pociągiem jechaliśmy nad ocean indyjski, oceanem płynęliśmy do portu Dar es Salaam w Tanganice / Dar es Salaam w obecnej Tanzanii, miasto portowe i stolica - r./, stamtąd jechaliśmy całą dobę pociągiem do Morogoro /miasto w Tanganice/. W pobliżu miasta był oboz, trzy rzędy baraków i tam byliśmy 18 miesięcy. Później oboz likwidowano i pojechaliśmy autami do obozu w Kondoa /miasto na północ od Morogoro/. Z Kondoy jechaliśmy do kraju przez port Mombasa, gdzie załadowano nas na statek. To był rok 1948. Płynęliśmy morzem Czerwonym, przez

Kanał Sueski do Genui. Stałismy tam na ślepych torach tydzień czasu, aż przyszedł międzynarodowy pociąg i zabrał nas do Polski przez Wrochy, Austrię, Czechy do Międzylesia. Ulokowali nas w szkole, spisali i rozdzielali gdzie kto chciał jechać. Myśmy pojechali do Wałbrzycha, co tam żyła jeszcze matka męża i była tam bratowa. Byliśmy tam trzy tygodnie i przyjechaliśmy do Przemysła.